

Jak zwykle

Nie przypuszczałem, że z Różą będzie taki problem.

Najpierw wydawała się idealnie pasować do szablonu „Panienska z dobrego domu” – który po dziesięciu minutach rozmowy stworzyłem specjalnie dla niej, bo wcześniej nie zetknąłem się z tego typu przypadkami. Nie chciałem za bardzo eksperymentować we wczesnej fazie mojego projektu, zacząłem więc od obiektów łatwych do oswojenia i niewymagających dużego nakładu energii. Szybko mi się jednak znudzili: to ponoć normalne, że kiedy po kilku znaczących sukcesach wzrasta wiara w siebie, człowiek zaczyna szukać mocniejszych podnieć. Wróć! Nie każdy człowiek. Nie żaden statystyczny pesel jak ognia unikający niespodzianek czy wyzwania, dlatego kurczowo trzymający się tego, co raz rozpoznał i co wydało mu się dobre. Nie byle jeden, tylko artysta w swoim fachu. Po owych kilku zwycięstwach poczułem, że czas zmienić kierunek sprawdzony, lecz już przewidywalny, i zasmakować czegoś nowego. Ponieważ jednak klęski napawały mnie jeszcze większą niechęcią niż łatwe zwycięstwa, postanowiłem działać nie w sposób rewolucyjny, ale ewolucyjny. To znaczy wprowadzać udoskonalenia powoli, odrzucając błędne założenia, a zapamiętując te chwytaki, które dawały za każdym razem inny rezultat. No, nie aż tak radykalnie inny, bo w fazie końcowej musiałem postępować jak zwykle.

Szablon wypracowałem nie tylko w toku obserwacji i przy wsparciu mojego życiowego doświadczenia, ale także na podstawie szeregu odpowiednich lektur. Moje intuicje szybko znalazły w nich stuprocentowe potwierdzenie. Kiedy więc dopiąłem wszystkie szczegóły, byłem zupełnie spokojny.

Nie przypuszczałem, że kiedy zdecyduję się włączyć ją do mojej trupy aktorskiej, to po kilku dniach okaże się, że niezależnie od mojej opinii, tak czy siak by się do niej dostała. Proszę, proszę, córka szefa, kto by pomyślał! Mogłem być zły o to, że mnie osobiście o tym nie poinformował. Czułem się upokorzony, że mój przełożony knuje za moimi plecami jakieś skomplikowane intrygi, a ja dowiaduję się o tym od Marysi – sprzątaczkę. Pomimo to nie czułem gniewu. Musiałem im chcąc nie chcąc przyznać, iż zachowali wiele gracji w swoim działaniu – Róża nosiła inne nazwisko i nie była specjalnie podobna do ojca, a przynajmniej ja potrafiłem dostrzec na pierwszy rzut oka, że są spokrewnieni. Poza tym – sam ją przecież przyjąłem. Nie widziałem sensu gdybania, jak wyglądałaby sytuacja, gdybym postąpił inaczej, chociaż było to dość oczywiste. To idiotyczne, że moje przerośnięte ambicje spotkały się w jednym miejscu z przerośniętymi ambicjami szefa. I to akurat teraz, gdy wystawialiśmy najważniejszą sztukę w sezonie! Jak to wyglądało z zewnątrz? Megaloman, właściciel i zarządca teatru, postanowił udowodnić wszystkim, że jego fajtłapowata pociecha dorównuje mu kunsztem i wyczuciem sztuki, dlatego na siłę zrobił z niej aktorkę. Natomiast awanturniczy reżyser o przerośniętym ego zdecydował się na eksperyment: podarował główną rolę najważniejszego spektaklu od ostatnich kilku lat największemu beztalenciu. Po co? Po to, żeby zwiększyć w sobie już i tak gigantyczne poczucie własnej wartości oraz pokazać innym i samemu sobie swój geniusz – że z tak beznadziejnego materiału był w stanie stworzyć prawdziwego, wytrawnego aktora. I efekt mieliśmy taki, że Róża wygrała casting na Annę Kareninę.

Tu dopiero zaczyna się cała komedia. Okazało się bowiem, że nasza główna bohaterka to nie tylko słodka blondyneczka o niebieskich jak niezapominajki oczach, ale też niezłe ziółko. Dawała w kość wszystkim, a mnie chyba najbardziej. Chociaż nie robiła żadnych postępów, to i tak uważała się za pępek świata. Na próby przychodziła spóźniona, a jeśli ktoś ośmielił się zwrócić jej uwagę, w sali prób rozpętywało się piekło. Każdy po kolei stopniowo tracił do niej cierpliwość. Pomijając już to, jak bardzo była zarozumiała (co zdaje się miała po tatusiu) jej sposób bycia po prostu wkurzał wszystkich dookoła i to już był wystarczający powód, żeby nie darzyć jej szczególną sympatią.

Któregoś dnia jednak, kiedy całą ekipą czekaliśmy na nią prawie godzinę, uznałem, że nie mogę dłużej traktować jej ulgowo. Wobec tego, gdy tylko się zjawiła, usłyszała ode mnie parę „ciepłych słów”. Kończąc swoją tyradę, zobaczyłem jak płoną jej oczy. Powiedzieć, że była wściekła to niewinny eufemizm. Szczerze powiedziawszy wyglądała jak chodząca bomba zegarowa. Zaskoczyło mnie jednak to, że nie odezwała się ani słowem, tylko odwróciła się na pięcie, wyszła na scenę i zagrała co miała zagrać.

Gdy tylko to zrobiła, wszystkich obecnych delikatnie mówiąc zamurowało. Nadszedł moment, na który wszyscy czekali. Byłem całkowicie zaszokowany, kiedy zobaczyłem jak wreszcie rozkwita, jak rozwija aktorskie skrzydła. Później, w czasie przerwy, podsłuchiwałem rozmowy swoich podwładnych i moich uszu doszły takie sformułowania jak „zjawiskowa”, „niezwykła” i „wspaniała”. Doskonale wiedziałem, kogo dotyczyły te komentarze. Róża rzeczywiście po raz pierwszy się popisała. Jej gra aktorska była wręcz perfekcyjna. No i odkąd zacząłem ten eksperyment, w końcu poczułem, że coś zaczyna wychodzić.

Ale nie trwało to zbyt długo.

Po przerwie wróciliśmy do pracy i zabraliśmy się za finałową scenę. Anna Karenina wypowiedziała z wdziękiem ostatnie słowa, po czym, nie zmieniając nawet wyrazu twarzy, dodała:

- Dziękuję za próbę, odchodzę.

Poczułem, jak zalewa mnie gniew. Miałem jej już serdecznie dosyć. Zignorowałem nadzieje związane z tym, że mój projekt pomału zaczął dawać efekty. Zrobiłem w końcu to, co powinienem był zrobić już dawno: zdecydowałem, że Róża nie może być częścią naszej grupy, bo nie potrafi się zaaklimatyzować i dostosować do ogólnie przyjętych zasad. A jeśli mnie coś w ludziach irytowało to na pewno brak dyscyplinowania.

Jedynym moim problemem było to, że nie mogłem pozwolić jej odejść, tak po prostu, bo się na mnie wściekła. Gdybym do tego dopuścił, mógłbym się już pożegnać z karierą w teatrze „Igraszka”. Byłem więc zmuszony ubłagać ją, by została, po to tylko, by odeszła z jakiegokolwiek innego powodu, byle nie przeze mnie. Cała ta historia jest jak żywcem wyjęta z filmu, ale tak naprawdę to akcja się dopiero rozkręca.

Udało mi się ją przekonać, by została. Użyłem starego sprawdzonego sposobu – zadziałałem na jej kobiecą próżność. Obsypałem komplementami jej wykon, pozwoliłem, żeby poczuła się jak gwiazda, co oczywiście miało być tylko tymczasowe. Najważniejsze, że przyniosło oczekiwany efekt.

prawdziwy problem się zaczął, gdy Róża zaczęła mnie podrywać. Z początku nie zwracałem na te niewinne błahostki, wmawiałem sobie, że to tylko moja wrodzona duma działa mi na wyobraźnię. Ale Róża wkrótce zaprosiła mnie na kawę, rzekomo w celu omówienia poprawek w scenariuszu. Przestałem wierzyć, że faktycznie widzimy się po godzinach z tego

powodu, jaki mi podała, gdy zobaczyłem, co włożyła na siebie na nasze spotkanie. Krwisto czerwona kreacja. Niebotycznie wysokie szpilki. Bardzo odważny dekolt. Kompletnie nic w jej wyglądzie nie mówiło „chodźmy poprawiać scenariusz”.

Wcale nie dziwiłem się przypadkowemu przechodniowi, który tak się na nią zapatrzył, że wpadł w słup.

Próbowałem opanować samcze instynkty, ale jej powierzchowność bynajmniej mi tego nie ułatwiała. Udało mi się jakoś dobrać do końca tego wieczoru. Za swój największy sukces uznałem to, że tylko raz się rozproszyłem i zagapiłem na jej biust. Poza tym obyło się bez porażek. Co poradzić – byłem facetem, a ona piękną kobietą. Od lat mieszkalem sam, dlatego tym bardziej moje potrzeby dawały mi się we znaki.

Potem już było tak przewidywalnie, jak to tylko możliwe – zakochałem się w niej, ona we mnie też. Nie mogliśmy jednak być razem, bo nie pozwalała nam na to etyka pracy. Co nie znaczy, że nie próbowaliśmy jej obejść. Najskuteczniejszym sposobem było po prostu ukrywanie. Zachowywaliśmy się jak dzieciaki z podstawówki, które robią coś złego w tajemnicy przed dorosłymi.

Myślałem, że to będzie typowa love story. I oczywiście się pomyliłem.

Spotykaliśmy się od sześciu tygodni. Do wielkiej premiery zostały zaledwie dwa miesiące. Nie muszę chyba dodawać, że wróciłem do pierwotnego planu zatrzymania Róży w teatrze na dobre. Tyle, że szkoliłem ją teraz nieco subtelniej, bo ciężko mi było traktować ją jak każdego innego współpracownika. Nie mogłem ani nawet już nie chciałem jej wykopać, bo mnie omotała – nie potrafiłem działać przeciwko niej. Już nie.

Któregoś jednak dnia wyszło sztydło z worka i zrozumiałem, jakim idiotą byłem, że jej zaufałem. Myślałem, że mogę być pewny jej uczuć – wielokrotnie mnie o nich zapewniała. Ale wszystko nagle się zmieniło w pewien smutny poniedziałek...

Szef wezwał mnie do siebie. Co tu kryć, było to dla mnie zaskoczenie, bo raczej nie miał tego w zwyczaju. Kiedy wszedłem do jego gabinetu, siedział przodem do okna, a więc bokiem do mnie. Jego mina nie wróżyła niczego dobrego. Jakiś czas milczał, a kiedy ta cisza zaczynała mnie już drażnić, zapytał w końcu, czy wiem, dlaczego tu jestem. Kiedy odpowiedziałem zgodnie z prawdą, że nie mam bladego pojęcia, odezwał się do mnie w ten sposób:

- Widzisz Mariusz... nie jestem głupcem. Wiem, jak powinna prosperować dobra, porządna firma. I zawsze byłem przekonany, że „Igraszka” jest dobrą porządną firmą. Staralem się o to, żeby nią była.

Nie wiedziałem o co mu chodzi. Czyżby odchodził? A może postanowił mnie zwolnić?

- Czy wiesz, dlaczego moja córka z tobą pracuje?

Wybałuszyłem oczy. W tym momencie się już całkiem pogubiłem.

- No... gra Annę Kareninę.

- Tak, oczywiście. Ale czy wiesz, dlaczego skłoniłem ją do wzięcia udziału w castingu do tej roli?

Pokręciłem głową. Dyrektor tylko się uśmiechnął.

- Można powiedzieć, że była moją wtyczką. Dobry przełożony powinien zawsze trzymać rękę na pulsie. Bo widzisz tak się składa że jeden z pracowników naszego teatru zaplątał się w dość ciekawą historię.

- Czy mógłbyś jaśniej? – poprosiłem słabo, nie potrafiąc znaleźć w jego wypowiedzi żadnego sensu.

- Jaśniej? Proszę bardzo. Ktoś z naszej firmy robił wielkie przekręty. I mówiąc szczerze, wszystkie dowody wskazywały na ciebie. Ciężko mi było się z tym pogodzić... nie umiem sobie wyobrazić ciebie w roli kryminalisty.

Zamurowało mnie.

- Co ty, chyba nie sądzisz, że mógłbym... - zacząłem, ale mi przerwał.

- Nie, broń Boże. Teraz już nie. Ale zrozum – musiałem cię sprawdzić. I właśnie dlatego ona tu jest. Potrzebny był ktoś, kto w bardzo delikatny i finezyjny sposób zdobędzie informacje, nie wzbudzając przy tym żadnych podejrzeń. To był powód, dla którego moja córka się z tobą umawiała. Celowo zostawała u ciebie na noc; kiedy spałeś, ona, korzystając z okazji sprawdzała różne papiery w twoim domu. Nie znalazła co prawda nic, co mogłoby cię oczyścić z potencjalnych zarzutów, ale za to znalazła coś u kogoś innego, co bezsprzecznie wskazywało na to, kto za tym wszystkim stoi.

- O czym ty w ogóle mówisz? – spytałem zupełnie skołowany.

- Pamiętasz, jak sprowadzaliśmy ten super nowoczesny sprzęt nagłaśniający z Holandii? I te reflektory? Były wypchane kokainą. Ktoś je porozkręcał, nafaszerował i złożył do kupy, a potem jak sądzę, zamierzał tym syfem handlować.

- I podejrzewałeś mnie?!

- Wstyd się przyznać, ale tak. Nie przejmuj się, jesteś czysty jak łąza, Róża sprawdziła cię z góry na dół. Tak naprawdę to okazało się, że to Marysia. W kieszeni kurtki miała dwie działki.

- Nasza Marysia?!

- No tak. Jutro będzie tu policja, oczywiście w jej sprawie...

* * *

Nie pamiętam za bardzo, co było potem. Rzeczywiście, następnego dnia mili panowie mundurowi aresztowali naszą sprzątaczkę pod zarzutem przemytu narkotyków. Tak, ja też uważam, że brzmi to co najmniej idiotycznie.

Chciałbym powiedzieć, że wyszedłem z twarzą z tej jakże poniżającej sytuacji. Że odszedłem z pracy i rzuciłem swoją dziewczynę, która mnie okłamała i wykorzystała. I że potem oczywiście było mi lepiej: znalazłem dużo lepiej płatną robotę i związałem się z kimś, kogo mogłem być pewien.

Szkoda, że prawda jest bardziej banalna. Bo oczywiście wyszło jak zwykle. Miłość zwycięża, Alleluja! Mi samemu chce się czasami rzygać od tych amatorów. Ale takie jest życie – jaki miałoby sens bez miłości i przebaczenia?

A tak na marginesie – Anna Karenina okazała się sukcesem wszechczasów...

Karolina Olszewska